TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 51. Chicago, Ill., Czwartek, 22-go Grudnia, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

GŁOS PANA NAD PANY.

OPOWIADANIE DLA MŁODYCH MOICH PRZYJACIÓŁ.

PRZEŁOŻYŁ.
STANISŁAW KUNASIEWICZ.

(Ciąg dalszy.)

Myślał i myślał długo jeszcze nad tem, nic jednak takiego nienasunęło mu się na myśl, coby go pocieszyć mogło, jak zwykle więc i zawsze postanowił spuścić się na opiekę i pomoc dobrego Boga.

Około południa obudził się Urban, znacznie pokrzepiony.

"Biedny chłopcze — zagadnął do Stefana — jakże ja cię żałuję, że w tak nieszczęśliwy czas przyszedłeś do mnie na pomocnika Węglarstwem jakiś czas teraz zajmować się niebędziemy mogli, możesz więc dzisiaj jeszcze powrócić do matki."

"Nie majstrze Urbanie, ja tego nie uczynię — odpowiedział Stefan. — Tutaj bowiem u was jestem o wiele potrzebniejszym, jak tam w domu."

"Jak to, ty chciałbyś u mnie tutaj cały czas spędzić, zanim wyzdrowieję?" zapytał Urban.

"Naturalnie, zresztą czyż mogłoby nawet być inaczej? — odpowiedział Stefan. — Któż inny mógłby lub powinienby was pielęgnować, jeżeli nie ja?"

"Dziecko jesteś, mój chłopcze — mówił Urban. — Ja już tu sobie sam dam radę, możesz więc spokojnie odejść! Z węglarni niebędziesz miał teraz żadnego dochodu, a wiesz również dobrze, że ja pieniędzy złożonych niemam, któremi mógłbym ci zapłacić za fatygę!"

"To też zapłaty żadnej niedomagam się, ani też o takowej niepomyślałem nawet — odpowiedział Stefan całkiem spokojnie. —

Sami tutaj pozostać nie możecie, więc i samo przez się rozumie się, że ja tu zostać muszę, ażeby was pielęgnować! Zresztą niema o tem już co więcej i mówić! Tak powinno być, i tak być musi!"

Słowa te wzruszyły do głębi szorstkiego ale i poczciwego węglarza.

"Kiedy tak, to zostań — mówił do Stefana uśmiechając się pzyjaźnie. — Poczciwym jesteś chłopcem, a tę przysługę, jaką pragniesz mnie wyrządzić, niezapomnę ci nigdy przez całe życie. Bóg nas wspierać będzie dalej, jak nas wspierał dotychczas. — Biedy nie będziemy potrzebowali także zaznać, mamy bowiem spory zapas węgli, który nietrudno będzie sprzedać, zawiózłszy je do pobliskiego miasta, a na jakich ośm dni jesteśmy zaopatrzeni we wszystko, czego nam tylko będzie potrzeba I dla tego niepotrzebujemy się trwożyć — wszelkie trwogi jak na teraz byłyby zbyteczne."

Tak więc porozumieli się, i Stefan spokojniej odtąd spoglądał w przyszłość. Miał bowiem nadzieję, że za kilka dni będzie choremu już znacznie lepiej, będzie go więc mógł pozostawić samego i do miasta pójść, ażeby tam węgle sprzedać i za otrzymane pieniądze nakupić tego, czego będzie potrzeba: — no, a później toż i Urban wstanie z łóżka i na nowo rozpocznie się robota. Uzbroił się więc w cierpliwość i spokojnie całymi dniami siedział przy łóżku chorego,— gdy w tem zaskoczyła go niespodzianka, o której nawet niezamarzył. Kiedy bowiem pewnego dnia wyszedł, ażeby oglądnąć zapasy węgli, przekonał się, że tych już tam niebyło. Niezawodnie wiadomość o słabości Urbana musiała się rozejść po okolicy, a źli ludzie wykorzystali zaraz tę chwilę i przekonawszy się, że zapasy węgli nie są strzeżone, zabrali je potajemnie ze sobą.

Jakby piorunem rażony stanął Stefan i przerażony spoglądał na miejsce, gdzie do niedawna jeszcze leżały węgle, po których tylko czarne plamy pozostały. Wraz z węglami znikło ostatnie i jedyne źródło pomocy dla Urbana.

Biedny Stefan niewiedział już teraz co począć. Zastanowiwszy się nieco, postanowił na razie nic o tej kradzieży Urbanowi niemówić, a tylko udać się do wsi i tam u kogoś, a może we dworze u hrabstwa wyjednać jakąś zapomogę dla chorego Urbana. Lecz i o tem niewspomniał przed Urbanem, powiedział mu tylko, że za dni kilka pobiegnie do matki, ażeby się z nią zobaczyć, a czemu znowu Urban zupełnie się niesprzeciwiał.

Popołudniu wypogodziło się, burza przestała szaleć, śnieg przestał padać, a niebo rozciągnęło niebieską oponę nad całą ziemią. Wieczorem więc wyszedł Stefan z chaty na podwórze, aby świeżem powietrzem odetchnąć i pocieszyć się ślicznym widokiem zachodzącego słońca. Stał długo, bo dopóki słońce zupełnie nie zaszło i nie skryło się i chciał już cały drżący od zimna powrócić do chaty, gdy w tem całkiem niespodzianie ciszę wieczorną przerwały głosy kilku mężczyzn, którzy, jak mu się zdawało do chaty zbliżali się. Rozciekawiony Stefan zatrzymał się przed chatą i chwilkę później obaczył w rzeczy samej kilku mężczyzn, wychodzących z pomiędzy krzaków. Wszyscy byli uzbrojeni w strzelby, a przez plecy mieli zawieszone torby myśliwskie. Kiedy się nieco zbliżyli, poznał Stefan, że to są ludzie z tejże samej co i on wsi, zdziwił się więc niemało, widząc ich jako strzelców chodzących po lesie. Lecz i oni zmięszali się, obaczywszy Stefana i zatrzymali się jakich pięćdziesiąt kroków przed chatą.

"Cóż to Marcinie sprowadza was tak póżno tutaj do środka lasu? — zawołał Stefan do jednego z owych trzech mężczyzn... — Czy chcecie może odwiedzić biednego Urbana? Mam przekonanie, że rad wam będzie bardzo."

Mimo tego zaproszenia, ludzie ci niemieli jakoś chęci zbliżenia się, pozostali bowiem na tem samem miejscu i poczęli szeptać pomiędzy sobą.

"Ale do czego — mówił trochę głośniej ten właśnie, na którego przed chwilą Stefan wołał — zapewniam was, że to dobry chłopiec, i on nas pewnie niezdradzi. Zresztą widział nas i tak z bronią i torbami myśliwskiemi, a więc dalej naprzód, bez wszelkich obaw!"

I sam pierwszy poszedł i podał Stefanowi rękę na powitanie.

"No, jakże się masz? — zapytał Stefana.

— Słyszałem o nieszczęściu Urbana, lecz nie to sprowadza nas dzisiaj do lasu."

"Cóż więc tedy? Wszakże jesteście dobrymi znajomymi?" odpowiedział Stefan.

Marcin uśmiechnął się znacząco.

"Tak to prawda — mówił — gdybym był tylko wiedział, że ty tutaj jesteś, nie byłbym był przyszedł z próżnemi rękami. No, ale to nic nieszkodzi. Uważaj za to dobrze jutro rano! bo być może bardzo łatwo, że jutro tu przed domem znajdziesz zawieszonego zajączka, a może nawet i sarnę. Zabierz tedy jedno albo drugie i niech ci dobrze smakuje — ty pojmujesz mnie?"

I w rzeczy samej Stefan pojął teraz, dlaczego ci mężczyzni uzbrojeni byli w strzelby.

"Na miły Bóg, przecież niewybraliści się polować na cudzym gruncie?" — zawołał przestraszony.

"A dlaczegożby nie, ty głupcze?" odpowiedział Marcin. "Nadaremnie i po nic niebiegnie się przecież w nocy do lasu. Mam nadzieję, że dzisiaj pyszne będzie polowanie. Za godzinę najdalej pokaże się księżyc, a wówczas będzie tak jasno, że i na sto kroków w około widzieć będzie można."

"A jeżeli was leśniczy pana hrabiego pochwyci" — zagadnął Stefan. — "Wszakże wiecie o tem, że ciężko karają tych, którzy ukradkiem w cudzym lesie polują!"

"Któż jednak z nas dałby się pochwycić!" — mówił Marcin śmiejąc się. — "Zresztą my niepolujemy w rewirze należącym do hrabstwa Waldenburg, gdyż to byłoby z naszej strony bardzo nierozsądnie, lecz idziemy dalej za granicę, gdzie już są posiadłości księcia. Ot wiesz co, chodź z nami Stefanie, za pół godziny będziemy już tam, a jeżeli ci szczęście sprzyjać będzie, może się nawinąć jeleń, którego ubiwszy, sprzedasz handlarzowi zwierzyną w mieście za sześć lub siedm talarów."

Stefan słuchał tego wszystkieg z niemałem zdziwieniem. Sześć do siedm talarów ładny byłby to pieniądz w dzisiejszem jego położeniu!

"Grzech jednak" szepnął mimowolnie.

"Głupstwo!" zawołał Marcin śmiejąc się. "Polować ukradkiem nie jest żadnem grzechem! Dobry bowiem Bóg stworzył przecież jelenie tak samo dla nas ubogich, jak i dla bogatych, którzy żyją wprawdzie w tem przekonaniu, że one tylko dla nich stworzone. Zresztą jak powiedziałem hrabiemu naszemu niewyrządzamy żadnej szkody, a książe Henryk może postradać kilka jeleni, setki bowiem tychże biega po lasach jego, a nocą wychodzi na pola nasze, ażeby je z zboża ogołocić. Wet za wet! Jelenie księcia wyjadają nasze zboże, więc my za to zjedzmy te jelenie. I dla tego nieociągaj się, tylko chodź z nami. Wiem ja dobrze, że Urban ma ładną strzelbę, a jeżeli niemasz nabojów, tych ci chętnie dostarczymy. Nienamyślaj się więc dłużej, tylko chodź!"

Stefan zawachał się, namowa Marcina niepozostała bez skutku, a nadto nadzieja, że łatwo może przyjść w posiadanie pieniędzy, których tak bardzo potrzebował dla chorego Urbana, w końcu żal za skradzionymi węglami....

"E co tam, raz przecie spróbować niezawadzi — rzekł do owych mężczyzn.—Zaczekajcie chwilkę tylko na mnie, zaraz powrócę!"

Po cichutku wslizнął się do chaty i zbliżył do łóżka Urbana. Chory spał twardo, jak zwykle o tej godzinie, a Stefan wiedział dobrze, że sen taki trwa co najmniej do północy. Miał więc dosyć czasu, ażeby wykonać to co przedsięwziął i tak, żeby Urban o tem niewiedział. W razie zaś, jeżeli mu się uda zabić rozgacza i sprzedać, natenczas wszystkie pieniądze postanowił oddać Utbanowi, i powiedzieć, że to jest należytość za węgle sprzedane. Przezorny i dbający o chorego majstra swego przysunął zdjął strzelbę ze ściany i wiszący obok tejże woreczek ze śrutem i rożek z prochem, zawiesił takowe na siebie i tak uzbrojony wyszedł do czekających nań towarzyszy.

"Tak, to mnie się podoba!" zawołał Marcin. "Lecz pokażno strzelbę, chcę ją oglądnąć i przekonać się, czy wszystko jest w porządku. A umiesz ty strzelać mój Stefanie?"

"Umiem, Urban nauczył mnie" — odpowiedział Stefan. — "Leśniczy bowiem nakazał Urbanowi tępić wszelkiego rodzaju zwierzęta drapieżne, a ja w zastępstwie jego zabiłem tą samą strzelbą już niejednego lisa i niejednego jastrzębia. Guldena płacą

nam za lisa, a pół guldena za każdego drapieżnego ptaka, nagrodę więc taką, którą pogardzić niepodobna. Gdyby tylko częściej pojawiały się te drapieżniki, natenczas niepotrzebowałbym tak się kłopotać i biedzić!"

"Jakto, ty masz kłopoty? — zapytał Marcin. — Wszakże Urban, o czem zresztą powszechnie wiadomo, zarabiał zawsze ładny pieniądz!"

"Tak, to prawda — odpowiedział Stefan — tak bywało dawniej, odkąd jednak spotkało go to nieszczęście niemoże już zarabiać, a nadto skradziono nam cały zapas węgli, którego sprzedaż mogła była nas na czas jeszcze jakiś poratować."

"A więc jak widzę, stało się bardzo dobrze, żeśmy cię tutaj przypadkiem spotkali — mówił Marcin. — Nielękaj się, bieda wasza skończy się niebawem, a jeżeli ci szczęście sprzyjać będzie, to i w niedługim czasie będziecie mieć wszystkiego podostatkiem. Ja znam dobrze cały las księcia, każdej więc nocy ustawię cię na takiem miejscu na którem bodaj jednego rogacza będziesz mógł zabić. No a teraz naprzód, zanim bowiem miesiąc zejdzie, musimy być na stanowiskach, a niebawem już ukaże się on na firmamencie.

I wyruszyli w drogę, a Stefan wraz z nimi przekonany, że wielkim grzechem nazwać się tego niegodzi, jeżeli ktoś zastrzeli rogacza w cudzym lesie. On bowiem zgadzał się już teraz z rozumowaniem Marcina, że kiedy jeleń wyjada zboże na ich polach, więc im wolno zastrzelić i zjeść tego jelenia, a zapomniał jak jego boleśnie dotknęła kradzież, której dokonano pod oknami Urbana zabierając ztamtąd węgle, i że cudza własność jest zawsze cudzą własnorcią, czy nią jest dziki rogacz czy jakakolwiek rzecz inna. Byłby się on niechybnie lepiej zastanowił był nad tem, co czyni, gdyby to polowanie ukradkiem miało się było odbyć w lesie będącym własnością hrabiego, jego pana — lecz rewir księcia, cóż ten i dla czego miałby go obchodzić? Wszelkie więc skrupuły jakie się w piersiach jego od czasu do czasu odezwały starał się przytłumić przywołując na myśl chorego Urbana i nędzę, w jaką tenże niedługo popadnie. Mogli choremu Urbanowi cały plon jego długiej i żmudnej pracy skraść, dlaczegóżby więc niemógł on pozbawić księcia jednego jelenia, któren niepracując biega tylko po lesie?

I tak wciąż szli dalej, aż za pół godziny przekroczyli granicę na której rozdzielili się i rozeszli w różnych kierunkach, ażeby zająć wyznaczone stanowiska. Stefana ustawił Marcin tuż zaraz na krańcu niewielkiej polanki, polecając, ażeby się za pień starego dęba schował.

"Wyznaczam ci bardzo dobre stanowisko. — Tam bowiem z drugiej strony polanki płynie rzeczułka, w której woda prawie nigdy niezamarza, tam więc chodzą zwykle jelenie gasić pragnienie. Niepotrzebujesz tedy nic więcej robić, jak tylko pilnie uważać, a kiedy obaczysz rogacza wychylającego się z krzaków wysłać zaraz kulkę na powitanie tegoż. Jeżeli stąd odejdziesz z próżnemi rękami, będzie to li tylko twoja wina."

"Bądź pewny, że będę ja dobrze uważał," odpowiedział Stefan. Zaraz potem odszedł Marcin, ażeby zająć również wyznaczone stanowisko, a kiedy szelest kroków jego ucichł, nastała wokoło grobowa cisza.

Teraz dopiero poznał Stefan, że serce jego jakoś inaczej bije jak przedtem a z każdą niemal chwilą coraz większa poczęła go ogarniać trwoga. Dla czego? zdać sobie sprawy z tego nieumiał, więc starał się koniecznie pozbyć jej, nadaremnie jednak, dawna pewność siebie jakoś niewracała. Zdawało mu się, jakby bezprzestanie głos jakiś szeptał mu do ucha. "Stefanie, ty zboczyłeś z dobrej drogi i wszedłeś na złą, ty czynisz źle, zamierzyłeś bowiem wyciągnąć rękę po cudzą własność, pragniesz kosztem drugiego zbogacić się! Zawracaj dopóki jeszcze czas! dopókiś jeszcze złego czynu niepopełnił, zanim więc spotka cię zarzut!"

Wszystkie te napomnienia i przestrogi były strasznie niemiłemi dla Stefana, starał się też ich pozbyć przywołując na myśl co chwila co innego. Więc przypominał sobie to wszystko, co Marcin do niego mówił, kiedy go namawiał, ażeby poszedł z nimi na polowanie ukradkiem, to znowu myślał o Urbanie i o nędzy jaka ich czeka, to znowu burzył się przypomniawszy o kradzieży ja-

kiej dokonano przed kilkoma dniami zabierając węgle. Mimo to wszystko jednak i jakkolwiek wiele bardzo pracy sobie zadawał, niepotrafił zagłuszyć wszystkich owych napomnień i przestróg. Nie wiedział co ma czynić dalej i uczuł żal, że dał się namówić. Gdyby nie obawa, że Marcin i towarzysze szydzić będą z niego, uciekłby w tej chwili z tego stanowiska i pozostawiłby ich samych. Niestety! zapóźno już na to! — tak mu się przynajmniej zdawało.

Pozostał więc, niekontent i nieszczęśliwy, a pozostał li tylko dla tego, ażeby go niewyśmiano i niewyszydzono. Pozostał, bo wstydził się odejść, że zaś wstyd ten był fałszywym wstydem, tego on w tej chwili pojąć jeszcze niemógł.

I znowu upłynęło jakie pół godziny, a równocześnie z tem ukazał się księżyc i oświetlił krzystałowe gałązki drzew i białą, śniegową oponę, którą pokryta była ziemia. Stefan spojrzał w tej chwili ku niebu, a serce jego przejęła niewymowna trwoga, kiedy obaczył księżyc. Zdawało mu się bowiem, że ten patrzy na niego z góry wielkiemi oczami i woła do niego: "Stefanie, co ty robisz tutaj? o tej godzinie? w nocy? w chwili, kiedy powinieneś siedzieć przy łożu chorego majstra i przyjaciela i jego pielęgnować? Stefanie, czy tak powinieneś postępować? Wstydź się, że cię tutaj o tej godzinie spotykam!"

I zdawało mu się, że w rzeczy samej słyszy zarzuty takie, więc wstyd prawdziwy wycisnął czerwone piętno swoje na policzkach jego. I przypomniał sobie na ów świecący meteor, któren go pocieszył i wlał w niego otuchę, kiedy matka jego pasowała się ze śmiercią — i ową jaskinię, w której wraz z Marylką zamknięty siedział i owe gwiazki za pośrednictwem których, jak mu się podówczas zdało, usłyszał głos Pana nad Pany — a przypomniawszy sobie to wszystko zdało mu się znowu jak gdyby i w tym jaśniejącym księżycu widział oko Boga, które groźnie w tej chwili na niego spogląda. A nadto serce szeptało mu nieustannie: "Stefanie ty czyniesz źle! ty zbłąkałeś się z dobrej drogi i zaszedłeś na błędną! ty w tej chwili niczem nieróżnisz się od każdego nędznego złodzieja! Zawracaj więc dopóki czas! zawracaj coprędzej!"

"To głos Pana nad Pany," szepnął Stefan cały drzący. — "Pan mówi do mnie za pośrednictwem sumienia mojego, a jam go zrozumiał!"

W tej chwili zaszeleściało w krzakach, oddalonych nie więcej jak dwadzieścia kroków, a zaraz potem wyszedł z pomiędzy nich prześliczny jeleń, który stąpając dumnie zaszedł powoli aż do połowy polanki i tu dopiero zatrzymał się, ażeby spoglądnąć ciekawie w około. Stefan potrzebował tylko zdjąć z pleców broń i wypalić, a przepyszna zdobycz niebyłaby mu uszła, nie miał jednak najmniejszej nawet chętki po temu. Przeciwnie! jakby w obawie, ażeby z drugiej strony nie padł strzał na to szlachetne zwierzę, wyszedł co prędzej z za pnia dębu i stanął na takiem miejscu, gdzie go to zwierzę łatwo zobaczyć mogło. I w rzeczy samej obaczył go jeleń, a obaczywszy i przeląkłszy się porwał się z miejsca i uciekł z polanki kryjąc w gęstych zeroślach.

"Głupcze! trutniu! — zawołał w tejże samej chwili głos jakiś, w którym Stefan natychmiast głos Marcina poznał — "Więc ty miasto strzelać wystraszasz nam jeszcze jelenia! Czy dlatego błaźnie postawiłem cię na najlepszem miejscu?"

"Z umysłu niestrzelałem i nigdy niepoważę się na cudzą własność strzelać! — odpowiedział Stefan głosem stanowczym, zdradzającym silne postanowienie. — Postąpiłeś sobie Marcinie bardzo nieszlachetnie namawiając mnie, ażebym z wami razem poszedł! Bóg jednak w sam dobry czas zdjął zasłonę z ócz moich, przejrzałem więc i poznałem złe, którego miałem się dopuścić, a które wy czynicie i postanowiłem nigdy w życiu czegoś podobnego niedopuścić się. Dzisiaj po raz pierwszy dałem się namówić, ale też i po raz ostatni! Ja odchodzę, a i ty zrobiłyś bardzo dobrze, gdybyś to samo uczynił!"

"Idź trutniu! — zawołał Marcin drwiąco. — Kto niesłucha dobrej rady, ten i na pomoc niezasługuje! Idź błaźnie i giń wraz z Urbanem z głodu!"

"Milej mnie będzie zginąć z głodu, aniželi tutaj z wami kraść cudzą własność!" odpowiedział Stefan. "Bóg nas niechybnie

wesprze, jakkolwiek dziś niewiem jeszcze w jaki sposób i kiedy?"

I po tych słowach odszedł, a równocześnie śmiech szyderczy rozległ się po lesie. Szyderczym jednak tym śmiechem nieczuł on się wcale dotkniętym, owszem zdało mu się, jakoby serce jego skakało z radości, że nareszcie pozbyło się ciężaru, który je przygniatał. Co więcej, Stefan był tak uradowany, że o mało nie zaczął się głośno cieszyć, że niedał się namówić do popełnienia złego, odtąd bowiem sumienie jego zaprzestało już napominać go i ostrzegać, natomiast szeptało mu co chwilę: "uczyniłeś bardzo dobrze!" a szept ten wydał mu się bardzo miłym. I spojrzał uradowany ku niebu i obaczył, jak tenże sam księżyc, któren przed niedawnem tak groźnie na niego, spoglądał, uśmiechał się obecnie do niego jakby jaki stary, szczery i serdeczny przyjaciel.

"Dziękuję ci!" — mówił Stefan do niego — tyś mnie pouczył, że droga na którą wszedłem była błędna, tyś mnie przekonał, kiedyś wielkiemi oczami ze zdumieniem a groźnie na mnie spoglądał. Niezapomnę ci tego nigdy przez całe życie moje i serdecznie dziękuję ci ty luby, dobry miesiączku!"

"Stój! ani słowa więcej!" odezwał się raptem ktoś głosem groźnym i jakaś postać silna, wysoka wystąpiła z po za pnia olbrzymiego dęba i stanęła tuż zaraz naprzeciw Stefana wzbraniając mu w ten sposób iść dalej. Uciekać niepodobnem było ani na prawo ani na lewo, ścieżka bowiem, którą powracał Stefan, wiodła pomiędzy dwie olbrzymie skały, których ściany były prawie prostopadłe.

"O Boże mój!", zawołał jakby piorunem rażony nieszczęśliwy Stefan. "Panie jam rzeczywiście niewinien, ja dotychczas nic tu złego jeszcze nieuczyniłem!"

"Wiem o tem — odpowiedział ten drugi — słyszałem bowiem wszystko, co tylko mówiłeś do swoich towarzyszy, a nadto przekonałem się, żeś z umysłu spłoszył jelenia. I dla tego niezatrzymałem cię tutaj, ażeby pociągnąć do odpowiedzialności i ukarać, tylko z innego zupełnie powodu. Lecz czy poznajesz ty mnie?"

"Nie, panie! Zresztą tak tu ciemno," odpowiedział Stefan, pozbywszy się obaw.

"Kiedy tak, to chodźmy na miejsce, które księżyc oświeca. — No a teraz czy poznajesz mnie?"

W tej chwili jaśniej jeszcze oświetlił księżyc piękną, szlachetną twarz młodego męczyzny, który uśmiechał się do Stefana.

"Nasz młody pan — hrabia Otton! — zawołał Stefan juk najmocnej zdziwiony. — Cóż pana hrabiego tutaj sprowadza?"

"Zaraz się o tem dowiesz — odpowiedział młody hrabia Waldenburg. — Od dawna już zauważali mój i księcia leśniczy, że w tych tu lasach przebrzydła jakaś zgraja poluje ukradkiem; dotychczas jednak nieudało im się pochwycić tych bezczelnych śmiałków. Ażeby więc kres położyć temu polowaniu wyprowadziliśmy dzisiaj do lasu całą naszą służbę i otoczyli tak ze wszech stron tych trz ch złodziejów, od których na szczęście wczas jeszcze odłączyłeś się, że ujść nam już w żaden sposób niepotrafią. Wprawdzie dotychczas mogliśmy już ich pochwycić, postanowiliśmy jednak zaczekać dopóki strzał niepadnie i pochwycić ich na gorącym uczynku, ażeby wszelkie tłumaczenie się było nadaremne i ażeby przed karą ochronić się niemogli."

Stefana twarz oblała się teraz trupią bladością, ze słów bowiem hrabiego poznał, że stał przed chwilą nad krawędzią okropnej przepaści a jutro byłby już siedział w domu poprawy.

"Boże wielki w niebiesiech! dziękuję ci z głębi duszy mojej, żeś mnie i starą matkę moją zachował od tej hańby — zawołał podnosząc wzrok dziękczynny ku niebu. — Panie hrabio, gdyby nie ta nędza, niebyłbym był nigdy uległ namowom i dał się skusić. Wierzaj mi, że dzisiaj pierwszy raz w mojem życiu przyszedłem do tego lasu ze złymi zamiarami.'

"Wiem o tem dobrze, słyszałem przecież każde słowo twoje wypowiedziane do Marcina — odpowiedział hrabia — Ten Marcin jest to zły człowiek i jako taki pragnął tylko twojej zguby. Hultaj podobny jemu, zdradził go i jego towarzyszy i dlatego niepotrafią oni ujść nam dzisiaj. Hultaj ów opowiedział nam nadto, jakie zamiary żywił Marcin względem ciebie. Nie przypadkiem, lecz z umysłu, ażeby cię uwikłać w sidła, znalazł on się dzisiaj przed chatą węglarza.

Wiedział aż nadto dobrze, że znajdujesz się w bardzo przykrem położeniu i dla tego był pewnym, że usłuchasz namowy jego. On to, a nie kto inny wraz z swoimi towarzyszami skradł wam cały zapas węgli, ażeby was wszelkiego możliwego dochodu pozbawić, a tem samem pozyskać pewność, że namowom uledz będziesz musiał. On postawił cię dla tego na tem stanowisku, ponieważ był pewny, że tamtędy rogacz przebiegać będzie, a z tego znowu całkiem słusznie wnioskował, że jeżeli strzelisz, rogacza tym strzałem zabijesz, a wówczas będzie mógł już z tobą robić, co mu się tylko podobać będzie. Gdyby nawet później odezwała się była w piersiach twoich skrucha, na nicby się już nieprzydała. Popełniwszy raz to złe, niepotrafiłbyś już je naprawić, a pierwszy ten fałszywy krok byłby cię w następstwie najniechybniej zaprowadził do domu poprawy. Dlatego podziękuj Panu gorąco, że w czas przebudził uśpione sumienie twoje i dał ci siłę oprzeć się namowom i niepopełnić złego czynu!"

"O, panie hrabio! wszędzie i zawsze dziękować Mu i wielbić Go będę!" — odpowiedział Stefan głosem, w którym przebijało się tyle wzruszenia, ze w prawdziwość słów dopiero co wyrzeczonych niepodobnem było niewierzyć. "Tu, w obliczu Boga ślubuję, że odtąd żadnej namowy nieusłucham choćby ona była jak najbardziej nęcącą. Lecz Marcin, Marcin, ten hultaj! — pojąć niemogę, jakie pobudki mogły nim kierować, kiedy zamierzał uwikłać mnie w te sidła? Nigdy bowiem, w ciągu całego mojego życia niewyrządziłem mu, najmniejszej nawet przykrości!"

"Marcin pragnął mieć tu pośród lasu towarzysza i sługę, któryby mu co chwilę wyrządzał jakąś przysługę, — odpowiedział hrabia. — Takie pobudki kierowały nim i takie były jego zamiary. Nietroszczył on się o to, jakie następstwa ciebie spotkać muszą w razie ziszczenia się jego zamiarów, własną tylko korzyść miał on na oku, a czy ty na szubienicy skończysz, czy w domu poprawy było dlań zupełnie obojętnem. Ciesz się więc, żeś się wydostał ze szpon jego."

"O, z całego serca cieszę się, panie hrabio! — zawołał Stefan — a panu hrabiemu dziękuję za dobroć jego! Pan bowiem mogłeś był rozkazać pochwycić mnie tak samo, jak zamierzyłeś z tamtymi uczynić."

"Nie Stefanie, tego uczynić niemogłem, niedopuściłeś się przecie dotychczas jeszcze żadnego występku — odpowiedział młody hrabia. — Nadto żal mnie było ciebie, kiedym z ust owego hultaja, który zdradził Marcina i jego towarzyszy dowiedział się, w jakie sidła chce cię Marcin uwikłać, przedtem bowiem słyszałem niejedno o tobie, co mnie przychylnie dla cię usposobiło. Ale czy to prawda, żeś ty węglarza Urbana Wolfa przez cały czas słabości zupełnie bezinteresownie pielęgnował, a nawet teraz jeszcze pielęgnujesz?"

"Tak panie hrabio — odpowiedział Stefan — lecz to było moim obowiązkiem. Kiedy bowiem Urban był zdrów jeszcze, był on dla mnie zawsze szczerze życzliwym, więc i mnie niewolno być innym dla niego jak tylko wdzięcznym."

"Sądzę jednak, że nie każdy na twojem miejscu postąpiłby tak samo — mówił młody hrabia. — No, a teraz powiedz mnie jeszcze, czy w rzeczy samej znajdujecie się w nędzy?"

"Tak panie hrabio — mówił Stefan kiwając głową żałośnie — i niema nadziei, żeby było lepiej, bo skradziono nam cały zapas węgli. Jaki to niegodziwiec z tego Marcina!"

"Że niegodziwiec, to pewnem! — mówił hrabia. — Dlaczego jednak, kiedy nieumiałeś zaradzić tej nędzy, nieprzyszedłeś do nas do zamku i nieprosiłeś o pomoc?"

"Myślałem o tem nieraz panie hrabio, — mówił Stefan całkiem szczerze — niemogłem się tylko odważyć i dlatego kiedy mnie dzisiaj w takich różowych kolorach przedstawił Marcin to polowanie ukradkiem, dałem się otumanić. Zdawało mnie się, że stosowniej posłuchać zdradliwej namowy, jak dopuścić, ażebym z zamku jak żebrak wygnany został."

"To prawdopodobnie niebyło cię było spotkało — odpowiedział młody hrabia. — A tymczasem dobrze, a może nawet lepiej, że tak się stało! Poznałem cię bowiem w ten sposób lepiej, dzisiejszy zaś wieczór, w którym złożyłeś dowody swej uczciwości,

usposobił mnie dla cię bardzo życzliwie. Jutro rano przyjdź do mieszkania mego! tam opowiem ci coś, co prawdopodobnie miłem dla cię będzie. No, a teraz możesz już odejść, zbliża się bowiem chwila, w której czynnie trza będzie wystąpić i pochwytać złoczyńców. Słyszałeś, strzał już padł! a zatem i chwila owa już nadeszła.Do widzenia więc!"

Poczem zaraz zawrócił hrabia i szybkim krokiem podążył ku polance, gdzie przedtem Stefan czatował na rogacza. Czas jakiś spoglądał za nim Stefan w zamyśleniu i wielbił dobroć jego, potem zaś jakoby go ziemia parzyła, którą grzechem chciał zbeszcześcić, porwał się z miejsca i począł biedz do chaty węglarza.

"Panie! nie wódź nas na pokusę!" szepnął, kiedy dobiegł do tejże i strzelbę napowrót na przeznaczonem dla niej miejscu zawieszał. "Boże chroń muie, — mówił dziękując Panu — ażebym na drugi raz niepopadł w takie sidła, w jakie mnie dzisiaj omotano, i w jakie mnie chciano pochwycić."

V.

Spotkanie.

Kiedy Stefan dnia następnego rano, posłuszny wezwaniu hrabiego Ottona spieszył do zamku, słyszał jak po drodze opowiadano, że zeszłej nocy pochwycono trzech młodych ludzi polujących ukradkiem w lesie i wszystkich uwięziono. Ucieszył się więc bardzo, że jego, który wraz z nimi był poszedł, Bóg ochronił od tego okropnego losu. On w więzieniu, w domu poprawy! Byłby to jeden z takich wypadków, w obec których serce jego starej matki byłoby na zawsze oniemiało. Skoro tylko przybył do zamku prosił, ażeby o tem doniesiono młodemu hrabiemu i zaraz potem zaprowadzono go do tegoż. Hrabia przywitał go z widocznem zadowoleniem.

"Dobrze żeś przyszedł — rzekł do niego uprzejmie. — Zaraz więc przystąpimy do interesu wprost, bez wszelkich ogródek. Powiedzno Stefanie, czy niechciałbyś przyjąć służby u mnie? Potrzebuję bowiem służącego, na którego wierność i uczciwość mógłbym się spuścić, a sądzę, że takim właśnie jesteś. Obowiązki połączone z tą służbą nie są wcale trndne, nikomu bowiem więcej oprócz mnie usługiwać niebędziesz. Z początkiem wiosny zamierzam na dłuższy czas wyjechać z kraju za granicę, zabrałbym więc chętnie ciebie jako służącego. Do tego czasu poznajomi cię z obowiązkami twoimi stary służący mojego ojca, jeżeli masz chęć jechać wraz ze mną. Tymczasowo będę ci płacił dwadzieścia luidorów rocznie. Prócz tej płacy dostaniesz wszystko niewyjąwszy nawet ubrania, które również sprawiać ci będę. Jakże więc podoba ci się moja propozycya? Czy przyjmujes ją?"

"Ależ jak najchętniej panie hrabio!" odpowiedział Stefan uszczęśliwiony. "Wszakże to prawdziwe szczęście dla mnie i dla mojej starej matki!"

"Dobrze więc! Miło mnie, że tak chętnie tę propozycyę przyjąłeś. — mówił hrabia — A kiedy tak jest, możesz więc zaraz tutaj zostać i służbę twoją rozpocząć. Lecz jakąż to minę znowu zrobiłeś? Czy już pierwsze zlecenie moje niepodoba ci się?"

"Bynajmniej łaskawy panie hrabio — odpowiedział Stefan zaambarasowany — Nie o mnie tu chodzi, lecz o węglarza Urbana. Biedny ten człowiek jest zawsze jeszcze bardzo chorym, gdybym go więc opuścił, niebędzie miał nikogo przy sobie, któryby mu usłużył."

"Prawda, masz słuszność, zapomniałem zupełnie o tem." — rzekł hrabia. "Temu jednak da się przecie zaradzić. Czy matka twoja niepodjęłaby się pielęgnowania chorego, dopóki tenże niewyzdrowieje? Chętnie zapłaciłbym jej za tę fatygę."

"O! panie hrabio, pan jesteś nazbyt łaskawym" — zawołał Stefan. — "Matka moja chętnie bardzo to uczyni i bez wszelkiego nawet wynagrodzenia. Ale że mnie też to od razu na myśl nieprzyszło!"

"A więc wszystko już w porządku," — rzekł hrabia Otton. — "Masz tu dziesięć talarów, weź je i zanieś matce. Niechaj zakupi za nie to, czego Urbanowi właśnie potrzeba, pozostałą zaś resztę niechaj zatrzy-

ma jako wynagrodzenie za fatygę, a gdyby dziesięć tych talarów niewystarczyły, niechaj się do mnie zgłosi. Powiedz jej zarazem, że dzisiaj przyjąłeś służbę u mnie, a sprawiwszy się z tem wszystkiem, wracaj do zamku."

Znak dany ręką pouczył Stefana, że w tej chwili należy mu odejść. Uszczęśliwiony więc i rozpromieniony pożegnał hrabiego, ażeby coprędzej dostać się do wsi i starej matce o szczęściu, jakie go spotkało opowiedzieć. Poczciwa staruszka z miłą chęcią przyjęła na się obowiązek pielęgnowania chorego Urbana, przedewszystkiem jednak pragnęła dowiedzieć się, gdzie to, kiedy i w jaki sposób Stefan spotkał się z młodym panem?

"Mamo moja — mówił Stefan — ja to wszystko zawdzięczam dobremu Bogu, który w sam dobry czas przemówił do mnie i uśpione sumienie moje obudził. Miałem zamiar popełnić złe, gdy wtem usłyszałem głos Pana nad Pany i oparłem się pokusie. Młody hrabia Otton widział to i wskutek tego przyjął mnie do służby."

Matka niezadowoliła się jednak tą ogólnikową odpowiedzią i Stefan musiał jakkolwiek ze wstrętem i co chwilę rumieniąc się wyspowiadać szczegółowo i przyznać się do występku, który zamierzał popełnić. Dowiedziawszy się o tem wszystkiem przelękła się poczciwa staruszka i oburzyła.

"Stefanie -- wołała, pochwyciwszy za obie ręce syna — wypadek ten niech ci na zawsze będzie nauką i strzeżże się odtąd każdej pokusy, czy ona nakłaniać cię będzie do czegoś złego, czy nieprawego. Boże wielki w niebiesiech! jakieżto okropne byłyby następstwa, gdybyś był nieusłuchał głosu Pana nad Pany i popełnił ten grzech! Syn mój dzisiaj siedziałby już był w areszcie! Stefanie jabym była tego nieprzeżyła, hańba ta byłaby mnie była zabiła, a ból i rozpacz byłyby wtrąciły do grobu! Stefanie przyrzeknij, że starej matce twojej niezgotujesz żadnej hańby, i że oddtąd kroczyć będziesz zawsze tylko takiemi drogami, które Bóg wytknął i zawsze przykazania Jego zachowywać będziesz! Przyrzeknij to koniecznie!'

"Uspokój się matko moja i bądź zupełnie spokojną — mówił Stefan głosem pewnym i spoglądając na nią wzrokiem pełnym szczerości. — To czego domagasz się odemnie dzisiaj, jam już wczoraj wieczór ślubował Panu w niebiesiech i sobie i odtąd też żadna pokusa, gdyby ona była już niewiem jak wielką i jak nęcącą niepotrafi tego zdziałać, ażebym się miał sprzeniewierzyć mojemu ślubowi. Bądź zupełnie spokojną matko moje, ja bowiem przywykłem już podsłuchiwać głosu Pana nad Pany, a czego ten głos domagać się będzie uczynię chętnie i będę mu zawsze posłusznym, choćbym przez to zdrowie i życie miał narazić. Bądź więc zupełnie spokojną i spuść się na mnie matko moja!"

Wszystko to wypowiedział Stefan głosem pewnym i tak przekonywająco, że matka jego niemogła się nieuspokoić.

"Niech Bóg cię wspiera w dobrych twoich zamiarach — mówiła ona — i niechaj ci doda siły, ażebyś nigdy niesprzeniewierzył się ślubowi jakiś uczynił. Miałeś zawsze dobre serce mój Stefanie i dlatego pewną jestem, że niedozwolisz w niem zagnieździć się grzechowi, któren wiedzie w następstwach do wszystkiego złego. A teraz powracaj do młodego twojego pana i bądź mu zawsze tak wiernym sługą, ażebyś każdej chwili ze służby swej mógł zdać rachunek przed ludźmi i Panem w niebiesiech."

Chętnie bardzo przyrzekł jej to Stefan, gdyż przyrzeczenie to niebyło czem innem, jak tylko powtórzeniem tego co w głębi serca swego już był postanowił. Poczem zaraz powrócił do zamku, ażeby rozpocząć służbę, zanim to jednak nastąpiło pouczył go i dał potrzebne wskazówki dawny sługa starego hrabiego Waldenburga co jak, i kiedy czynić jest obowiązany.

Niebawem już przekonał się Stefan, że hrabia Otton miał zupełną słuszność utrzymując, że obowiązki jego niebędą zbyt uciążliwe. Usługa bowiem jakiej wymagał młody hrabia była tak niewielką, że przez trzy czwarte części dnia każdego Stefan niemiał żadnego zajęcia. I to właśnie niepodobało mu się. On pragnął dzień cały pracować, chciał być ciągle czynnym i użytecznym, a tu właśnie niemiał sposobności po temu. Nu-

dził się więc, a te nudy męczyły go i dziwnie odbijały się na jego zawsze dotąd wesołych i rumianych policzkach. Jean, ów dawny służący starego hrabiego zastawszy go razu jednego bezczynnie siedzącego w takiem usposobieniu w przedpokoju, zauważał to natychmiast, więc zbliżywszy się do niego z współczuciem rzekł przyjaźnie?"

"Cóż to ci takiego kochanie moje? czy może nie nagana od młodego hrabiego?"

"O panie Jeanie — odpowiedział Stefan. — Do samej śmierci wstydziłbym się, gdybym w czemkolwie zaniedbał się i niewypełnił któregokolwiek z przyjętych na się obowiązków. Mnie męczy i dręczy ta bezczynność, której niepotrafię zaradzić."

"Jeżeli rzecz tak się ma, coś podobnego czyni ci tylko zaszczyt — rzekł Jean przyjaźnie. — Sądzę jednak, że temu nietrudno dałoby się zaradzić, jeżeli tylko będziesz miał chęci potemu. Ucz się naprzykład kochanie moje, ucz!"

"Z całego serca, ale czego?"

"Prawdopodobnie musiał ci już mówić młody hrabia, że z początkiem wiosny wybiera się w podróż za granicę kraju. Być może, że podróżując, zechce odwiedzić także i Francyę, a w takim razie niebyłoby mu pewnie niemiłem, gdyby służący jego bodaj cokolwiek znał język francuzki. Niechcesz więc siedzieć bezczynnie, ucz się po francuzku."

"Ależ chętnie bardzo! — zawołał Stefan ożywiony. — Jak jednak rozpocząć tę naukę?"

"Będę ci w tem pomocnym — odpowiedział Monsieur Jean, Francuz rodowity. — Książek potrzebnych niezabraknie ci, pełno ich tu bowiem wszędzie od czasu jeszcze kiedy młody hrabia uczył się po francuzku a co do reszty, to spuść się już na mnie."

Żadna propozycya niebyłaby była Stefanowi bardziej pożądaną. Jean poznosił niezwłocznie wszystkie potrzebne książki i odtąd też Stefan z taką pilnością począł się przykładać do nauki języka francuzkiego, że już w niedługim czasie znaczne poczynił postępy. Gorliwość ta podobała sie bardzo Jeanowi, udzielał więc każdego dnia nowych wskazówek Stefanowi, które mu znacznie ułatwiały naukę. Po upływie czterech miesięcy niewładał wprawdzie jeszcze Stefan tym językiem biegle, zawsze jednak już tyle nauczył się, że mógł rozmawiających tym językiem jako tako zrozumieć.

"Jak na teraz, to ci wystarczy." — mówił Jean — a kiedy przyjedziesz do Francyi i będziesz słyszał dziennie mówiących tym językiem i sam nim mówić będziesz musiał, nabierzesz lepszej wprawy. Zawsze jednak ucz się dalej tak samo pilnie. Bo to co raz dostanie się do głowy, nieprędko się stamtąd ulotni."

Na nauce tej schodził Stefanowi miesiąc po miesiącu, aż nadszedł i maj z końcem którego poczęto w zamku czynić przygotowania do podróży, a hrabia przywoławszy Stefana zawiadomił go, ażeby był gotów do tejże. Pobiegł więc Stefan do matki, ażeby ją pożegnać, a ta błogosławiąc go na drogę napominała po kilkakroć, ażeby tylko dobrze czynił, kilka zaś dni później siedział już na kozle zgrabnego i eleganckiego wózka podróżnego i żegnał rodzinną wioskę, której łąki ubrały się prześlicznem kwieciem majowem, a to znowu perliło się rosą, oświecone pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Stefan cieszył się niewymownie, nietylko bowiem miał on obaczyć teraz ów świat piękny z tysiącami nieznanych mu cudów,ale nadto obaczyć także kogoś jeszcze, który po matce pierwsze zaraz miejsce zajmował w sercu jego. Najbliższym bowiem celem podróży była stolica, w której mieszkała hrabina Matylda Windek, siostra młodego hrabiego Ottona, a którą tenże po drodze zamierzył odwiedzić. Pokojową zaś hrabiny tej była Marylka dawna przyjaciółka Stefana i towarzyszka lat dziecięcych. Wiedział Stefan o tem dobrze, że ją tam obaczy, to też w błogiem wyczekiwaniu na to spotkanie oczy jego lśniły spoglądając w około, a oblicze wyglądało tak radośnie, jak ów dzionek majowy, którego lekki wiaterek chłodził okraszone mocnym rumieńcem policzki Stefana.

"Jakże się zdziwi dobra moja Marylka! — szeptał po raz już dwudziesty może. — Lecz czy ona mnie pozna, kiedy raptem stanę przed nią? A czy też przechowała wiernie dawne uczucie przyjazne? Niezawo-

dnie dochować musiała, bo poczciwa zawsze dusza i szczera była z niej towarzyszka!"

Konie biegły bardzo prędko, zawsze jednak nie tak, jak tego pragnął niecierpliwy i roztęskniony Stefan. Dzień miał się już ku schyłkowi, kiedy dojechali nareszcie do stolicy, która tak przecudnie wyglądała w czerwieniejącym blasku zachodzącego słońca, że Stefan zapomniał nawet na chwilkę o swej przyjaciółce Marylce. Zaraz potem wjechał wózek na szerokie kamieniami wykładane ulice, po obu stronach których stały domy wysokie, przejechał następnie przez most, zakręcił do alei, przy której wznosiły się najokazalsze gmachy i zatrzymał się przed pięknym pałacem zbudowanym nieopodal od ulicy, a odgrodzonym od tejże żelaznemi sztachetami i miluchnym ogródkiem z kwiatami.

"Otóż i pałac pana hrabiego Windek," zawołał pocztylion, który od ostatniej stacyi powoził.

Stefan zeskoczył co prędzej z kozła, ażeby młodemu panu otworzyć powóz, a zaledwie hrabia Otton wysiadł, otwarły się znowu podwoje pałacowe i wybiegła młoda dama, ażeby przybyłego powitać. Damą ową była sama hrabina Windek, która uściskawszy jak najserdeczniej brata, poprowadziła go zaraz do mieszkania swego, poleciwszy Stefanowi i służbie poznosić wszystkie pakunki, a powóz zatoczyć do wozowni.

Skoro hrabina odeszła, począł Stefan na wsze strony oglądać się w nadziei, że przecież gdzieś tu Marylkę obaczy, nieobaczywszy jej jednak nigdzie, pocieszał się znowu, że nastąpi to później, kiedy już wejdzie do pałacu.

Nareszcie już i pocztyliona zapłacono i odprawiono i powóz zatoczono do wozowni i rzeczy poznoszono do pokojów, przeznaczonych dla hrabiego Ottona, a jeszcze, jakkolwiek Stefan patrzał ciągle na wsze strony, nie obaczył Marylki.

"Niezawodnie zatrudnioną być musi w pokojach hrabiny — szeptał zniecierpliwiony. — Powinnaby jednak wybiedz bodaj na chwilkę, boć nietrudno jej domyśleć się, że skoro młody hrabia przybył, przybyć z nim musiał także i ktoś z jej ojczystej wioski, jakkolwiek nic niewie o tem, że ja to właśnie, jej kolega szkolny i przyjaciel z lat dziesięcych z hrabią przybyłem."

Zniecierpliwiony począł układać rzeczy hrabiego tak, jak to lubiał hrabia, a uporawszy się z tem poszedł do służących hrabiny, ażeby od nich dowiedzieć się czegoś o Marylce. Schodząc z piętra na dół napotkał dwóch młodych w liberii, którzy mu przed chwilą pomocnymi byli przy znoszeniu rzeczy, a kiedy ci powitali go uprzejmie, podał im rękę i już bez wszelkich ogródek począł wypytywać o Marylkę.

"Prawdopodobnie musi być na górze w garderobie pani hrabiny — odpowiedział jeden z pytanych. – Ale zkądże ty ją znasz?"

"A jakżeż jej niemam znać! — odpowiedział Stefan. — Jakżebym ja nieznał Marylki? W latach dziecięcych sąsiadowaliśmy przecie, i razem wychowaliśmy się."

"Co? Marylka mówisz? więc ty o Marylkę pytasz? — zawołał jeden z młodych owych lokaii pobladłszy i jakby tem zapytaniem przestraszony — Jakto, to miałbyś nic niewiedzieć? Na miły Bóg, niewymawiaj nawet głośno jej nazwiska, bo gdyby hrabina usłyszała, źleby tu było z nami."

"Dlaczego? co to wszystko ma znaczyć? — zapytał Stefan zdziwiony. — Cóż więc takiego zrobiła Marylka? Nic o niej niesłyszałem od kiedy wyjechała z młodą hrabiną do stolicy."

"W rzeczy samej lepszej służącej wyobrazić sobie nawet niemożna było, jaką była Marylka kiedy tu przyjechała. Lepiej niewidziałem odkąd noszę tę liberyę, a nawet odkąd żyję — odpowiedział Ludwik, starszy pomiędzy pytanymi. — I dla tego pani hrabina obchodziła się z nią jakby że siostrą, a nie z garderobianą, później jednak poczęła powoli poznawać się na niej, aż nareszcie i całkiem ją poznała. Teraz Marylka siedzi w więzieniu, i musi niechybnie żałować za swoje grzechy, płacze bowiem jak słyszałem, po całych dniach i nocach i w żaden sposób uspokoić się niemoże."

"Co? Marylka w więzieniu?" zawołał Stefan przerażony, a trupia bladość pokryła policzki jego. — Na Boga, powiedzcie przecież dla czego? za co? co takiego zrobiła, żeby ją potrzeba było aż zamykać? Nie, to być niemoże! czy ja śnię? a może ja tylko

źle słyszałem? Marylka, Marylka z naszego Waldenburga w więzieniu?"

"Tak jest, ta sama Marylka z Waldenburgu — odpowiedział Ludwik i kiwnął głową potwierdzająco. — Tak jest, ta sama siedzi w więzieniu zamknięta, ale i zasłużyła na to Bo jakżeż podle niewdzięczne to stworzenie wyzyskało zaufanie młodega hrabstwa i jak podle zdradziło i oszukało!"

Stefan usłyszawszy taką odpowiedź stracił przytomność, w głowie poczęło mu się mącić, a łzy obfite wytrysły z oczów jego i zawisły na policzkach.

"Nie, to niepodobnem — zagadnął po chwili, przyszedłszy nieco do siebie. — Nie, Marylka niepotrafiłaby być niewdzięczną! Ona, ma tak dobre serce! Nie! to być niemoże! Znam ją lepiej jak wy! i dla tego przekonany jestem, że prędze by umarła, aniżeli zdradziła dobrą swoją panię"!

"Być może, że dawniej taką była — odpowiedział Ludwik chłodno i ruszył ramionami. — Ale ludzie czasami zmieniają się i ulegają pokusie, a osobliwie, jeżeli ta pokusa nęci ich bezprzestannie. Co zaś do Marylki, tę inaczej teraz nazwać się niegodzi jak tylko obłudnicą i złodziejką. Bo gdybym nawet wszystkie inne jej sprawki pominął — a tylko tę jedną z dyamentami wziął w rachubkę, to i ta jedna aż nadto wystarcza żeby przekonać, że miała ona długie palce."

"Boże w niebiesiech! to niepodobnem, to niemożliwem! Tego Marylka uczynić nie mogła! — zawołał Stefan mocno wzruszony i bolejący. — I dlatego proszę cię kochany mój nowy kolego, opowiedz z szczegółami, jak się ta rzecz miała!"

"My niezwykliśmy o tej sprawie opowiadać — szeptał Ludwik jak najciszej — co więcej hrabina zakazała nawet wspominać o tem i wymieniać nazwisko owej lekkomyślnej istoty, kiedy jednak, jak powiadasz, jesteś jej przyjacielem z lat dziecięcych, a jak mnie się znowu zdaje, serdecznie ci jej żal, więc opowiem jak się rzecz miała. A zatem słuchaj. Pani hrabina dostała w upominku w dzień ślubu od dzisiejszego swego męża kosztowny bardzo garnitur złoty, wysadzany brylantami, wartujący kilka tysięcy talarów. Rrzeczy wszystkie hrabiny składała, zamykała i wymowała Marylka, tak samo więc i ten garnitur. Jeżeli kiedy na jakiś bal ubierała się w niego hrabina, przynosiła go Marylka, a kiedy powróciła hrabina, odbierała go znowu i w szafie niewielkiej przeznaczonej wyłącznie li jedynie na przechowanie kosztowności, składała i zamykała. Kluczyka do tej szafki nikt nie miał z całej służby, tylko jedna Marylka. Powtarzam raz jeszcze, nikt niemiał kluczyka tylko jedna Marylka, niezapomnij o tem, a nadto zamek w tej szafce tak jest sztucznie zrobiony, że go żadnym innym kluczykiem, a nawet witrychem otworzyć niemożna. Hrabina bowiem, ażeby się przekonać, czy tak jest w rzeczy samej, kazała nam sprowadzić aż kilku ślusarzy, lecz żaden niepotrafił otworzyć tego zamku i każden przyznał, że tylko tym jednym kluczykiem, umyślnie w tym celu zrobionym szafkę tę otwierać można, nieposiadając zaś tego, a chcąc się do niej dostać, potrzebaby ją przedtem rozbić." Od dłuższego czasu zauważała hrabina, że z szkatułki jej raz mniej, to znowa więcej zabierano pieniędzy, o których nikt niepotrafił powiedzieć, nacoby one były wzięte. Pani hrabina jak powiedziałem zauważała to, poczęto więc pytać, badać, nadaremnie jednakże. Marylki podówczas nikt jeszcze nie podejrzywał, jakkolwiek ona prawie jedna tylko miała wstęp do pokojów hrabiny. Marylka wydawała się nazbyt uczciwą, żeby ją o coś podobnego posądzać można było. Więc zaczęto podejrzywać Minetkę, dzisiejszą garderobianę hrabiny, a jakkolwiek tej także niczego udowodnić nie można było, mimo to niewiele już brakowało, że jej z pałacu niewydalono, gdy w tem w sam dobry czas wyszła na jaw sprawa z dyamentami.

"Hrabina w owym czasie przez kilka tygodni była chorą i przez cały ten czas nigdzie nie bywała. Kiedy pozdrowiała, ambasador francuski dawał bal, została więc co się samo przez się rozumie również zaproszoną. A że bal miał być świetny, hrabina powzięła zamiar ubrać się w ów garnitur darowany jej przez męża, i w tym celu poleciła wyjąć go kilka dni przed balem ze szafki i odnieść do jubilera, ażeby nieco

oprawę kamieni zmienił. Tak jak poleciła, tak się też i stało, a dnia następnego potem przyszedł jubiler sam i przyniósł ten garnitur, ażeby go wręczyć hrabinie. Zameldowałem go, został wpuszczony i teraz wykryło się całe podłe oszustwo. Jubiler poznał, że z garnituru wyjęto dwanaście najpiękniejszych kamieni, a natomiast wsadzono dwanaście fałszywych, jakkolwiek uczyniono to bardzo zgrabnie, bo na miejsce drogich kamieni powsadzano fałszywe, ale tak łudząco podobne do tamtych, że tylko dobrze wprawne oko mogło to oszustwo poznać. Zeznanie, które jubiler zrobił, przeraziło okropnie panią hrabinę, już raz, że szkoda taką wyrządzono była bardzo znaczna, a następnie, że trzeba było odtąd uwierzyć, że kradzieży tej dokonał nie kto inny, tylko Marylka, ta sama Marylka, w której uczciwość dotychas święcie wierzono. Boć nie kto inny, a tylko ona odbierała od hrabiny ów garnitur, w celu złożenia takowego w szafce, i ona tylko miała kluczyk do tej szafki, do której więc nikt inny dostać się niemógł, a więc i nie kto inny, jak tylko ona kazała powyciągać kosztowne kamienie, a powsadzać fałszywe.

"Zeznanie to, jak powiedziałem, przeraziło hrabinę. mimo to jednak będąc panią bardzo dobrą niechciała Marylki robić nieszczęśliwą, więc kazała ją przywołać, powtórzyła jej zeznanie jubilera i zapewniła że ukaraną niezostanie, jeżeli tylko zwróci zabrane kamienie.

"Jubiler opowiadał później, że ciekawa scena miała się podówczas odegrać w pokoju hrabiny. Z początku Marylka wypierała się wszystkiego następnie przysięgała, że ona tego nieuczyniła, poczęła płakać i rzuciła się do nóg hrabinie błagając, ażeby ją o coś podobnego nieposądzała, krótko mówiąc odegrała rolę niewinnej tak wybornie, że kto wie czyby hrabina niebyła się dała wzruszyć, gdyby nie obecny temu wszystkiemu jubiler. Temu zależało bardzo na tem, ażeby wyszedł z tej sprawy czysto, gdyż i on mógłby zostać posądzonym o przemianę kamieni, więc uparł się, ażeby niezaniechano tej sprawy, lecz natychmiast rozpoczęto poszukiwania. Słusznemu żądaniu temu hrabina oprzeć się niemogła i zezwoliła, ażeby mieszkanie Marylki zostało przeszukane Niechcąc jednak w nikim wzbudzać podejrzenia postanowiono, ażeby jubiler sam przetrząsł całe mieszkanie w obecności tylko hrabiny i Marylki płaczącej. Poczęto wypróżniać kufry jeden po drugim, i przez długi czas nieznaleziono nic takiego, coby uprawniało do podejrzeń, aż nareszcie na samym spodzie zapchany w kącik znaleziono malutki woreczek, z którego coś błyszczącego wyglądało. Jubiler wyjął go a kiedy począł wyciągać to, co się we wnętrzu znajdowało, przekonano się że owym błyszczącym przedmiotem, który jego uwagę na się zwrócił był jeden ze skradzionych dyamentów, wprawdzie najmniejszy, ale właśnie jeden z zamienianych.

"Niebyło więc już i najmniejszej wątpliwości, kto kradzieży dokonał, jednak mimo tego przekonywającego dowodu Marylka wypierała się i dalej, że ona takowej niepopełniła. To też i przebrała się miara cierpliwości u pani hrabiny i Marylka została odprowadzoną do policyi, a stamtąd do sądu karnego, gdzie się dotychczas znajduje. Wyrok zostanie prawdopodobnie już niebawem ogłoszony, a jaki on będzie nietrudno się domyślić. Bo jakkolwiek Marylka dotychczas wszystkiego się wypiera, nieulega jedna wątpliwości, że na lat kilka skazaną zostanie do domu poprawy. I oto cała sprawa, o którą się dopytywałeś."

"Litościwy Boże! Marylka złodziejką, Marylka w domu poprawy! — szeptał Stefan załamując ręce. — Nie, to niepodobieństwem, ażeby ona czegoś podobnego się dopuściła! Ona, to dobre poczciwe dziewczę! i dla tego chociaż wszystko przeciwko niej przemawia, ja mimo to wierzę w jej niewinność!"

"Widać, że silnie wierzysz w jej uczciwość—odpowiedział Ludwik. — Ale cóż mnie ta sprawa może obchodzić? Ja opowiedziałem ci jak się rzecz miała, boś o to prosił, co się zaś dalej stanie, bardzo mnie to mało obchodzi."

W tejże samej chwili otwarły się drzwi przyległego pokoju i wyszło młode dziewczę, które wskutek zlecenia hrabiny zapowiedziało Ludwikowi, co ma uczynić i niezwłocznie potem oddaliło się. Stefan niebył-

zwracał uwagi na to dziewczę gdyby nie wzrok, którym ciekawie, bystro a pilnie przypatrywało się Stefanowi powtarzając Ludwikowi. co hrabina rozkazała zrobić.

"Jakie ona oczy ma fałszywe" — pomyślał Stefan, a kiedy weszła napowrót do pokoju, zapytał Ludwika, co to za jedna ta dziewczyna.

"To właśnie jest ta biedna Minetka, którą niewinnie posądzano — odpowiedział Ludwik. — Ona obecnie zajęła miejsce Marylki w garderobie hrabiny. Więc do widzenia kolego."

Ludwik odszedł, a niedługo po nim i ten drugi lokaj i Stefan pozostał sam z czarnemi tylko myślami, które snuły się po jego głowie.

Biedny chłopiec! On tak się cieszył na to spotkanie z dawną swoją towarzyszką, a jakże okropnie zawiódł się! Zaledwie podołał łzy powstrzymać, kiedy mu się na myśl nasunęło owe nieszczęśliwe położenie, w jakiem znajdowała się Marylka, a zarazem, że on jej nie mógł być pomocnym i niemógł przeprowadzić dowodu prawdy, że jest zupełnie niewinną. Bo że jest zupełnie niewinną, o tem niewątpił ani chwili, znał przecie Marylkę i jej czystość serca i dla tego był pewnym, że ona nie miała zdolności po temu, ażeby obmyśleć podobnie ohydny plan jak ów z dyamentami i takowy następnie wykonać.

"Nie to niepodobnem! to być niemoże!" wołało tysiącami głosów serce jego.

A jednak silna ta wiara w jej niewinność niemogła w niczem mu usłużyć, bo niemógł on Marylce pomódz, niemógł wydobyć ją z więzienia, niemógł odwrócić od niej bezczeszczącego ją podejrzenia i przeprowadzić dowodu prawdy, że jest niewinną. To też łamał ręce z rozpaczy a umysł swój biedził nad wynalezieniem jakiegoś światełka, któreby rozświetliło owe ciemnie jakiemi osłonięte było to sprzeniewierzeniem i ta kradzież. W końcu niemogąc nic podobnego odszukać, postanowił rzecz całą opowiedzieć młodemu swojemu panu i tego zapytać o radę i prosić o pomoc,

Późno wieczorem więc, kiedy hrabia powrócił do mieszkania swego, ażeby się udać na spoczynek, Stefan opowiedział mu o tem wszystkiem, co tak okropnie serce jego przygniatało. Hrabia wysłuchał wprawdzie całego tego opowiadania cierpliwie, w końcu jednak ruszywszy ramionami odpowiedział:

"Przykro mnie bardzo mój Stefanie, wiem bowiem o twojem przywiązaniu do Marylki, ale pomódz ci nie mogę. Siostra moja, jak sam się przekonałeś oszczędzała Marylkę do ostatniej chwili i pragnęła w obec ludzi cześć jej zachować. Marylka jednak kłamiąc i wypierając się wszystkiego, sama sobie zaszkodziła. Najlepiej więc zrobisz, jeżeli będziesz starać się o niej zapomnieć, i dla tego nie życzę sobie, ażebyś jeszcze kiedykolwiek o tej sprawie wspominał, bo o pomocy i mowy być nie może.

"A gdyby jednak Marylka była zupełnie niewinną?" odważył się Stefan pełen obawy zauważyć.

"Nie to niepodobnem!," odpowiedział hrabia i znak dał Stefanowi, ażeby się oddalił. "Zapomnij więc o niej! No, a teraz dobrej nocy!"

Nie pozostało też Stefanowi nic innego, jak tylko oddalić się. Z zbolałem sercem zwrócił kroki do pokoiku swego, gdzie położywszy się starał się zasnąć i pozbyć owych wszystkich myśli, które go trapiły.

"Hrabia słusznie bardzo mówił—szeptał Stefan,—ja powinienem zapomnieć Marylki, kiedy niepodobnem jej pomódz. Zresztą, cóż ja mam troszczyć się o nią? Wszakże ona nic mnie już nie obchodzi! A więc zapomnijmy o niej!"

I byłby był poczciwy Stefan z łatwością zapomniał, gdyby nie jakiś głos we wnętrzu piersi jego, który go ciągle upominał i pobudzał.

"Jak to?—mówił ów głos — więc to ma być przyjaźń, którą Marylce ślubowałeś? Na kimże cięży obowiązek czuwania nad nią i bronienia jej, jeżeli nie na tobie, jej ostatnim i jedynym przyjacielu? Czuwaj więc i módl się, a Bóg, który zna wszystkie skrytości pomoże ci całkiem pewnie, bylebyś tylko wytrwał w raz powziętem przedsięwzięciu i nieszczęśliwej nie opuścił. Wstydź się gnuśności twojej! wstawaj, czuwaj, badaj, podsłuchuj i niespocznij prędzej, aż rzeczywista prawda wykryje się i zwycięży!"

(Dokończenie nastąpi)

SPOTKANIE.

KROTOCHWILA W JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWAMI Z FRANCUZKIEGO, PP. CABOT FALLAIS I LETARGĘ.

(Ciąg dalszy.)

SPIEW NUMER III.

Julia.

Nie wiem dlaczego tak cała drzę,
Wypadku złego obawiam się!
Drzę przed szelestem, na wiatru wiew,
Nie wiem gdzie jestem, zastyga krew!
Ah! tak, ah tak, zastyga krew!
Oh dobrze mi mawiała Mama,
Że trwożym się nietylko w snach,
Poznaję dziś tę prawdę sama,
Że w dwoje być, nie taki strach!
Nie wiem dla czego tak drzę i. t. d.

(*po pauzie ociera sobie oczy, zwolna opierając się o ścianę*)

Nie wiem, czy skutkiem utrudzenia, czy też dramy nie nadto wesołej, — ale sen mię ogarnia, a oczy mimowolnie się zamykają... a jednak nie chcę spać... nie, nie chcę spać!... a kiedy czego nie chcę... to (*zasypia.*)

SCENA V.

Herkules (*z lewej* [illegible] *z sygarem zapalonem i* **Julia** *śpiąca.*)

Na honor! gałganiarz bardzo dowcipny!.. nie gniewałbym się wcale, gdyby przerwawszy swoje zwyczajne przechadzki, przyszedł tu do mnie; byłoby mi bardzo przyjemnie; lubo mówiąc szczerze stokroć by mi było przyjemniej w towarzystwie małej sąsiadeczki z pod numeru 33. — Szczególna! powieki moje zaczynaj ważyć po 25 funtów każda! — głupstwo zrobiłem wychodząc z domu bez jednego sous w kieszeni! bo przecież, — (*z dumą:*) bo przecież w domu, w mojem palisandrowososnowem biórku, znajduje się przeszło cztery franki, a mając taką sumkę, bylibyśmy z sąsiadeczką zwiedzili jaką szanowną, czcigodną winiarnią, — zjedli po kilka tuzinow ostryg... a przy kieliszku i ostrygach znajomość bardzo prędka (*siada na ławce przed domem:*) Aha!, gdybym mógł zasnąć! gdyby mnie ukołysać mogły sny złote, — a przynajmniej pozłacane sposobem galwanicznym! (*zaczyna drzemać:*) Łóżko zdaje się twarde, a jednak materac przerabiany przed pięciu laty.. Ah, śliczna sąsiadko! czemuż nie mogę na twoich ślicznych ramionach, wesprzeć mojej ślicznej głowy! — Ah będę... dobranoc... (*zasypiԁ orkiestra akompaniuje lekko następnym słowom:*)

Julia (*uie śnie*)

Ah! jestem na wsi, widzę moje turkawki.

Herkules (*podobnież*)

Ah! jestem w domu, — widzę ładne białe gęsi, — moich braci, — moje króliki, — moje indyki, — moich krewnych... całą moją rodzinę!...

Julia (*n. str.*)

Tak, to on, Anatol! idź pan, idź sobie, nie chcę cię widzieć więcej.

Herkules.

Co widzę? Paulina! okropne widmo! zwiodłaś mię, a jednak kocham cię jeszcze.

Julia.

Przypominam sobie nasze piękne dni.—

SPIEW NUMER IV.

Julia.

W polu wioski.
Pod drzewem cieniem,
Moj Anatol czeka mię!
Na bok troski
Przecz z westchnieniem,
Razem. Kiedy dłonie splotą się!
Oh skarbie mój...
Tem uściśnieniem,
Jam wiecznie twój
Na zawsze twój!
W polu wioski i td.

Herkules.

W polu wioski
Pod drzew cieniem
Paulina czeka mnę
bis Znikły troski
Precz z westchnieniem,
Kiedy dłonie splotą się
Oh skarbie mój itd.

Julia.

W polu wioski.
Pod drzew cieniem
Gdy Anatol czeka mię!
Nigdy troski,
Wraz z westchnieniem.
Razem. Kiedy dłonie splotły się!
Te szczęścia dni,
Skrył żal, milczeniem;
Bo z przysiąg drwi
I szczęście dni
Nie wrócą mi!
W polu wioski itd..

(*po pauzie słychać głosy za sceną:*)

Łapaj!... trzymaj!... złodziej!. —

Herkules i Julia (*budząc się i wstając i krzycząc*)

Kto tam?

Julia. (*przestraszona ucieka na prawo skryć się pod domem Herkulesa. Herkules przebiega na lewo i kryje się pod domem Julii:*)

Julia.

Ah to pan!

Herkules.

To ty piękna sąsiadeczko?

Julia. (*zbliżając się:*)

Udaję się pod twoją opiekę!

Herkules.

Zgoda! przymuję ją, bądź pani spokojna, niemasz się czego obawiać złodziei.!

Julia.

Nie słyszałeś pan, jak przed chwilą wołano. — ogień, zbójca!.

Herkules.

Ten krzyk właśnie przebudził mię... Myślałem żeś pana u ciotki?

Julia.

I tam odźwierny ogłuchł!

Herkules.

Jakaś epidemja na odźwiernych... aby na zawsze pogłuchli (*słychać śpiewy i krzyki z dala:*)

Julia. (*idąc w głąb*

Znowu krzyki!

Herkules.

Prawda. (*na. str:*) Przestraszmy ją, może się zbliży do mnie (*głośno:*) Do miljon!... to może być niebezpiecznem!

Julia (*przestraszona:*)

Co! doprawdy? (*zbliża się do niego:*)

Herkules (*na stronie:*)

Ah! tak, tak! (*bierze ją za rękę:*) I ja się zaczynam trwożyć coraz bardziej.

Julia.

Ale pan mi rękę tak mocno ściszkasz.

Herkules.

No patrz panna to ze strachu!... jak się człowiek boi, to radby ścisnąć kogo, lub też... (*krzyki na lewo* (*Julia ucieka na lewo: znowu krzyk!*

(Dokończenie nastąpi.)